

S-24713

Krzysztof Kieślowski

PRZYPADK

/scenariusz filmu fabularnego/

Warszawa, czerwiec 1980 rok

D-247/81

2

Co wiemy o Witku Długoszu i co może nam się z tego przydać? Może jako wspomnienia, a może tylko to, co kształtuje człowieka, czego ślady zostają i do końca są powodem zachowań, poglądów, albo co w którymś momencie życia trzeba zmienić gwałtownie, odnajdując siebie, albo odwrotnie, gubiąc bez powrotu. Nam wrażenie, że poznamy go dopiero kiedy będzie miał 24 lata, a każda chwila tych lat, czy tego chciał czy nie, coś tam w nim w środku robiła.

Przeżył chyba dużo dni zwykłych i uczuć banalnych, ale przecież nawet od tego czy strzeliło się bramkę w szkolnym meczu może dużo zależeć w życiu człowieka, a Wittek nie strzelił z głupiego powodu. Bramkarz przeciwników był jego kolegą z ulicy i kiedy Wittek pierwszy raz przyjmował Komunię, ten kolega był ministrantem, później oczywiście o uczucie wnikszości jakiego doznał, pamiętało mu się z twarzą tego kolegi, spokojnie wpatrzoną w katedra i tak odległą, że teraz, rozpedzony, z piłką u nogi, mógł tylko lekko kopnąć - prosto w ręce ministranta sprzed lat.

Ale załóżmy, że były też wydarzenia, które zdarzyły się tylko jemu i chyba nie były banalne albo były banalne ale dziwne. W każdym razie tak pewno musiałby myśleć. Bo urodził się w październiku 56 roku w Poznaniu - i może byłoby banalne, gdyby jego ojciec, inżynier u Cegielskiego zginął w tym zamęcie, ale ojciec nie przyszedł tylko na noc, a matka z ogromnym brushem poszukała

bóle na dwa tygodnie przed terminem, z trudem wśród strzelaniny i szaligów dowleczła się do szpitala i tam, w ogromnym rozgardiaszu urodziła na korytarzu dwóch chłopców i sanin ktokolwiek zdążył ją zauważyć - umarła, a brat Witka, Jan, zmarł w dwa tygodnie później, mimo, że lekarze i pielęgniarki pracujący przy rannych i umierających zrobili - jak to się presywnie określa - wszystko, bo takie chwile dają ludziom sił i bardzo jednocześnie ich w wysiłkach. Ojciec Witka znalazł ich następnego dnia i łącząc obowiązki strajkowego działacza z bólem człowieka, któremu umarła żona i trzeba było ją pochować, z radością wstąpił - a miał już prawie 40 lat i pięć nieudanych prób dziecka za sobą - któremu urodziło się dwóch synów i z niepokojem o zdrowie młodszego - widział przecież tych ludzi w niesmianianych od tygodnia kitlech, jak próbowali i chcieli utrzymać przy życiu niedonoszonoego, na korytarzu urodzonego bliźniaka i jak im się to nie udało. To był pierwszy kontakt ojca z lekarzami i szpitalem, taki właśnie został mu w głowie obraz i nie dziwnego, że później, połam kompleksu tamtej nocy, kiedy nie przyszedł opętany polityką i wiarą, przez całe życie dążył do tego, żeby Witka został lekarzem. Wiara mu się gdzieś rozwinęła, polityka sama wymknęła z rąk, nie chciał jej zresztą natrzymywać i została pewność, że pomoć szkodliwemu można wtedy, kiedy go boli i to kiedy boli ciało. Powiedzący, że tak mogło być. Ojciec był małomówny i nie opowiadał Witkowi nigdy szczegółów tamtej nocy i tamtych dni, ale Witka im był starszy tym bardziej był pewny, że wszystko to widział i że wszystko to pamięta, mimo, że prze-

cież nie mógł tego ani widzieć, ani tym bardziej pamiętać. Ale skąd w takim razie tak dokładne obrazy kobiecej nogi w podartej pończosce, potrąconej przez sięgniętego po podłogę szlówka, zostawiającego smugę krwi na podłodze, skąd również dokładny widok owijanego w prześcieradło dziecka wyjętego z sąsiedniego kojca, i to wszystko tkwiące gdzieś głęboko w głowie, nigdy nie wypowiedziane?

Próbował kiedyś, właśnie w chwili wznieśliwości, z poczuciem absolutnej czystości, zasypiając po Komunii, powiedzieć to ojcu, ale nie potrafił chyba - siedmioletni dopiero - znaleźć właściwych słów, bo ojciec popatrzył tylko dziwnie przeciągle i powiedział: - śpij synku - trochę ostrzej niż zwykle, a potem, kiedy już poszedł papierosowy, nieprzejemny oddech ojca i pocałunek już nad ranem, wstając jak zwykle żeby się wysikać, zobaczył ojca śpiącego przy zapalonym świetle. O matce nie rozmawiali prawie nigdy, Witek wiedział tylko tyle, że ojciec poznał ją ucałując francuskiego przy końcu lat czterdziestych, że była młodszą od ojca o 15 lat, na jakimś zdjęciu zobaczył, że nie była ładna, a kiedyś odrobacząc lekaże zobaczył, że ojciec wpatruje się w pisaną przez niego ósemkę w równaniu 19-8-11. Witek że dziś dnia pisał ósemkę łącząc ze sobą dwa odrębne kółka oska, może i dlatego, że wtedy ojciec powiedział: - Dobrze... jedenaście... Matka też tak pisała ósemki - a może pisałaby i tak, nawet gdyby ojciec tego nie powiedział, ale powiedział. Jeszcze kiedyś, chyba przy zewnętrznych uro-

5

dsinach, kiedy postanowiono już było, że Witek będzie lekarzem, ojciec zaprosił go na urodzinowy obiad do restauracji i kiedy jedli obiad, bez żadnego związku powiedział, że matka jedząc lodu zawsze mieszała je z kawa, bo uważała, że gorące dobrze je się z zimnym, a białe z czarnym. Na deser jedli sernik, który Witek lubił. Czy wystarczy, żeby tyle wiedziała o matce? Chyba nie. Jej rodzina, siostry etc?

Uczył się dobrze, piątki, które dostawał rozpie-
rały go do momentu, który chyba pozostawił od razu a zapawa-
żył gdzieś w czwartej klasie - ojciec nie lubił tych stop-
ni. To znaczy cieszył się, poklepywał go za dobre świa-
dectwa, kupował mu rower albo narty, ale za każdym razem
przez chwilę schłódł, ciągle uśmiechnięty i żartujący.
Gdzieś w siódmej klasie pobił się ze starszym kolegą,
który miał rasję narzucając Witkowi, że specjalnie nie
strzelił bramki w tamtym szkolnym meczu, bo - tu już nie
miał racji - umówił się z bramkarzem, a Witek bił się
rzadko i niesbyt dobrze, ale do białości i tak jak walił
tego starszego, tak samo mocno i z takim samym zapamię-
nieniem uderzył kilka razy interweniującego nauczyciela, aż
rozciął mu wargę, doczekał się obniżonej oceny ze sprawa-
wania i potem już do końca roku nie mógł odpowiadać na
pytania tego nauczyciela, matematyka i fizyka, a to sam-
knęciem przeniosło mu się także na jego żonę, która uczy-
ła historii - umiał i wiedział dokładnie co odpowiadać,
ale nie mógł wykrzusić z siebie poprawnych zdań, tylko
bąkał wzory i daty bez kontekstu, nieułożone - więc świa-

- 5 -

destwo przy końcu roku było pełne trójek i upewnił się dokładnie, czekając na to upewnienie, że ojciec udał się z tej obniжки szkolnych lotów. Nie kupił mu wprawdzie nic, był srogi i kiwał głową nad świadectwem, ale Witek wiedział, że go ucieszyło. Potem, na rok przed śmiercią ojciec powiedział mu, że nie ma przymusów, także w życiu, że sam w szkole uczył się świetnie i za każdym razem po przyniesionych ze szkoły znakomitych opiniach i nagrodach smuł, jak jego ojciec - czyli twój dziadek - dodał, oddalał się od niego odrobine. Powiedział mu to i wiele innych rzeczy w łódzkim szpitalu, w nocy, już długo po dozwolonych godzinach odwiedzin, w zadymionym pokoju telewizyjnym. Witek mógł zostawać w tym szpitalu, w którym zresztą ojciec potem zmarł, dłużej, bo ojciec przyjaźnił się blisko ze spokojną, czterdziestoletnią lekarką.

Kiedyś, między pobytami ojca w szpitalu, a Witek był już studentem pierwszego roku Akademii Medycznej i odwołano nagle zajęcia, więc wrócił koło dziesiątej do domu - zastał ich w banalnej, ale właśnie niebanalnej sytuacji, bo lekarka stała oparta o stół, miała podniesioną spódnicę i opuszczone rajstopy, a ojciec w piżamie klęczał przed nią, z głową wtuloną między uda, nie nie słyszący. Lekarka miała wątnie, przymknięte oczy, które nagle oprzytomniały i bez żadnego ruszenia ciała pokazały Witkowi, żeby wyszedł. Oczywiście nigdy o tym nie rozmawiali, Witek nie miał z tego powodu żadnego kompleksu, ani uczucia wrogości, po prostu wrócił do kolegów, do

"obywatelskiej" gdzie pili dalej piwo, ale obraz został mu pod powiekami. Nam nadsiajęc, że taki obraz nie będzie kompromitował oja.

Kiedy miał 12 lat pierwszy raz zobaczył i poznał to, co księża w jego kościele nazywali grzechem. Najpierw zobaczył, bo w sypialni na kimonii już pierwszego dnia, jeszcze przed zgaszeniem świateł, jeden z grupy znających się chłopaków z Warszawy, zawołał nagle - no, chłopaki, koni! - odkrył kołdrę i zaczął się onanizować. Był rudy i nazywał się Czerwonka. Potem robił to codziennie, inni próbowali go z początku naśladować, ale jakoś przy wszystkich im nie szło i już do końca Czerwonka został sam ze swoim publicznym rytuałem. Witka poczuł zazdrość, czy o grzech czy o dorosłość tamtego, dokładnie nie wiedział i któregoś dnia obserwował Czerwonkę starannie od rana, a potem przy śniadaniu w momencie, kiedy Czerwonka ugryzł pierwszy kęs chleba, powiedział głośno:

- Nawet ręk nie myłaś.

- No to co? - zdziwił się Czerwonka.

- Po wieczornym... no, po koniu...

- No to co? - powiedział jeszcze raz Czerwonka - popatrz.

I oblizał palec prawej ręki. Nie zrobiło to jednak dobrego wrażenia - nawet na wyznawcach jego metody.

Witka bolały wtedy zęby, w nocy nie mógł spać, buźnił się i przewracał, a którejś nocy oprzytomniał nagłe - zdziwiony - z takiego bolesnego półsnu, poszedł do toalety i zrobił w letniej cisy, ze szcokającym głośnym

daleko psem to samo, co Czerwonka robił w sypialni przed zgaszeniem światła. Ze zdumieniem obserwował, że na długą chwilę zapomniał o sobie. Poczuli się tylko osłabiony, oparł się o ścianę, ale potem łatwo zasnął i spał lekko aż do rana. Przyniewyszał się do tego narkotyku i jeszcze na kolonii zdarzało mu się zasnąć w toalecie, albo w pustej sypialni w ciągu dnia.

Na tej samej kolonii zaprzyjaźnił się z Danielem. Daniel był też z Łodzi, ale z innej dzielnicy. Dogadali się dlatego, że Daniel też miał ojca inżyniera. Potem rozmawiali o różnych rzeczach, także o dziewczętach, zwłaszcza o młodej wychowawczyni, ale od razu przy tej pierwszej rozmowie Daniel powiedział: - Nie zaprzyjaźniaj się ze mną. Ja niedługo wyjadę. A kiedy Witek chciał wiedzieć dokąd Daniel mówił: - Daleko. - Wszędzie potem chodzili razem, pomysłał z myśleniem ręk Czerwonki też był Daniela, tylko, że on bał się głośno powiedzieć: - "Nawet nie używać ręk", więc Witek to zrobił. Na tydzień przed końcem wakacji przyjechał ojciec Daniela, kazał mu się spakować i obaj wyjechali. Daniel pożegnał się tylko z młodą wychowawczynią, która go usiłowała i z Witkiem udało się pogadać. - Myślałem, że to będzie daleko, a teraz tata mi powiedział. Tylko do Danii. Napisać do siebie.

Nie wiedzieli jak się rozstać, chwilę stali naprzeciw siebie, posłali sobie niezgrabnie ręce, Daniel wziął adres i pojechał. Oczywiście, można by sobie wyobrazić pozucie krzywdy, żal za utraconym przyjacielem i niechęć do tych, którzy mu go zabrali, ale Witek ohyba nie przyswyczał się tak szybko do ludzi.

Potem usłyszał, jak mówią coś o nim i nie wiedząc jak go określić, jeden z wychowawców powiedział do młodej wychowawczyni - Nieposorny... kolega tego Żyaka. - Tak, wiem - powiedziała wychowawczyni i odeszła.

Jeszcze dwa razy słyszał, co o nim mówią ludzie, nie wiedząc, że słucha, i na każdym razem śmiało go to bardzo. Raz latek, miał już 17 lat i smak smaku kobiety, odbijali piłkę nad jeziorkiem, a w budzie, która była barem, podsłuchiwał wcale tego nie chcąc, dwie dziewczyny.

- Ma sgrabne nogi - powiedziała jedna.

- Ale kręci tyłkiem.

Witek myślał, tak mówiło mu doświadczenie, że to było o jakiejś dziewczynie, ale nagle sobie przypomniał i już wiedział, że mówili o nim. Przestał wtedy kiwać się w biodrach, ustawił w domu lustro w ten sposób, by widzieć się idącego tyłem i rzeczywiście przestał.

Pod koniec gimnazjum musiałby zainteresować się polityką. Nie mógłby też akceptować. Dajmyna to, że w naturalnej klasie sałowili tajny rząd. Postanowili dążyć do obalenia istniejących władz i w duchu prawdziwego socjalizmu walczyć o objęcie władzy. Witek został ministrem zdrowia i opracowywał system rzeczywiście bezpłatnej opieki zdrowotnej, likwidując Zapówkarstwo i prywatne praktyki lekarskie. Poznał nawet pielęgniarkę z przychodni, wykorzystał tę znajomość w prywatnych celach, uważając, że robi to dla idei i chyba tak było rzeczywiście. Spotykał się rano, jeśli pielęgniarka miała popołudniowe dyżu-

- 9 -

ry- wtedy Witkowi musiał opuścić po dwie lekcje i nie powalał jej sasad, wypytując o układy w przyszłości. Rząd wykryło i mało brakowało, aby do sprawy włączyła się milicja, ale dyrekcji szkoły udało się ograniczyć zasięg afery. Zasadniczo członków rządu z premierem na czele rozparcelowano po innych szkołach i z tego powodu Witkowi stracił rok. Kiedy odbywało się specjalne posiedzenie Rady Pedagogicznej, rząd wynaszył Witka do podsłuchiwania. Miał to robić naturalnie minister spraw wewnętrznych, ale stahórzył i Witkowi kilka godzin spędził w kotłowni, skąd ruzami słyszał było całą naradę. Tam dowiedział się, że ma zdolności przywódcze, których jednak nie potrafi wykorzystać - jest zbyt zamknięty w sobie. Dowiedział się też, że jest chłopcem bystrym, wysłanym szybciej niż przewiduje program, a cały problem jaki z nim miał Rada polegał na tym, że nie można było znaleźć żadnego pretekstu do przeniesienia. Premiera złapano kiedyś w szatni z włodem woźną, to było dobre. Minister kultury i oświaty czytał na lekcji historii "Timesa", to też nie było najgorsze, prezes Komitetu Rozwoju Rolnictwa Państwowego /taką nomenklaturę jako odpowiedniejszą do planowanych reform miał minister rolnictwa/ wagarował często do spółdzielni produkcyjnych w pomorskim, ministrowie przemysłu i obrony mieli po prostu niskie oceny z maturalnych przedmiotów, tylko na Witku nie można było znaleźć skazy.

- Żeby choć palił - odezwał się w którymś momencie dyrektor.

Witek przeniesiony został w końcu na epizod z pe-
bitym nauczycielem, który urósł w obecnej interpretacji
do rozmiarów nieorzeczliwego i agresji, a natychmiast
po powrocie do domu kupił paczkę papierosów i już nigdy
nie przestał w życiu palić. Ojciec zastał go w szaurze
dymu, skrytykował "klubowe" jako zbyt kwaśne i podwyż-
szył mu miesięczną pensję o 100 złotych.

Żeby Poznań został mgłą i legendą powinni się stam-
tąd wyprowadzić, więc przenieśli się do Łodzi na począt-
ku lat 60-tych. Tutaj starsza siostra ojca miała ogromne
mieszkanie po swoim mężu, jednym z pierwszych powojen-
nych wicowojewodów, które bez trudu, zamurując drzwi,
udało się przerobić na dwa mniejsze, wystarczające wygod-
ne. Witek nie mógł zrozumieć co zaczęło siostrę i brata,
bo nawet rodzinnej miłości nie osuż nigdy w ich stosun-
kach. Ciotka była jeszcze przedwojenną komunistką, zow-
sze bardziej radykalną od męża, energicznie działającą
w komisjach i komitetach społecznych. Już po śmierci wi-
cwojewody liczone się z możliwością, że zostanie posłem,
ale okazało się, że czy to ze względu na płeć, czy też
na status społeczny, musiałaby być wyierana w innym
okręgu wyborczym niż jej własny, a na to nie chciała się
sgodzić właśnie ze względów zasadniczych. Żeby pokazać,
iż wszystko jest w porządku, że nie urażono jej dumy
ludzkiej i politycznej, przewodniczyła potem i była człon-
kiem Komisji przy kolejnych wyborach, tak, że kiedy Witek
wybierał po raz pierwszy - wrzucił swój głos pod okiem

- 11 -

własnej ciotki. Od tego czasu mówiła do niego zawsze w liczbie mnogiej.

- Będziecie tak dobrzy, Witku - dzwoniła przez ich wspólny towarzyski telefon - i przynieście mi gazety, jeśli macie warszawskie.

Ojciec po poznańskim kryzysie oderwał się całkowicie od polityki, wycofał nawet złożoną w listopadzie 56 roku deklarację partyjną i z wiekiem coraz częściej wydawał się być zwolennikiem ustrojów wielopartyjnych. Z ciotką nie rozmawiał całymi dniami, wykorzystując podwójność mieszkania i kiwając głową, że go nie ma, kiedy słyszał się umówiony sygnał wspólnego telefonu. Wybory, w których działała siostra opuszczał.

Myślę, że na Olge zwrócił uwagę w maju, na drugim roku medycyny. W prosektorium stanęła w taki sposób, że ostre światło oświetlało jej głowę dziwnym blaskiem. Witek myślał, że to przypadek, ale po chwili zauważył, że kiedy asystent rozciął brzuch leżącej kobiety, Olga zamknęła oczy. Ze światłem z tyłu było to dla wszystkich najmniej widoczne. Mimo to, zauważył, że ma pięgi na powiekach. Paznokciami zdzierła lakier metalowego oparcia kosetki. Oparcie malowano już wiele razy i lakier poddawał się łatwo, rytm zdzierania w jakiś sposób zgadzał się z odgłosami ze stołu. Witek widywał ją prawie od dwóch lat, była dość przesiętną dziewczyną z niedobrymi chyba nogami, bo zawsze w spodniach, działała w Związku Studentów i Witek czasami kupował u niej bilety do teatru, teraz jednak pa-

trzył na nią zupełnie nieszczęśliwej. Miała jakiś dziwny, przykuwający wyraz twarzy, a pod koniec sekcji wysunęła język i obliźnęła nieszczęśliwie wargi, ale grymas namiętności - uświadomił sobie Witek - został. Po najcięższych zobaczył ją jeszcze zaglądnącej do prosektorium.

- Co ci było? - spytał, kiedy wyszła.

- Było widać?

- Było...

- Co?

Witek nie wiedział co odpowiedzieć, słowo namiętność nie wydało mu się stosowne. Powiedział więc po prostu, że mu się spodobała, bo to też była prawda. Olga roześmiała się.

- Ta baba na stole ułożyła mnie w podstawiścu. Nie nawidziłam jej i myślałam, że sama ją kreję.

Taka może być chyba Ola.

Wstało się oczywiście, że wyszli razem. Poszli na piwo, ale nie do "obywatelskiej", tylko do Grandu. Wia-czorem w studenckim klubie, w pokoju Komisji Kultury, do którego miała klucz, Ola oddała mu się tak naturalnie, jakby od lat robili to właśnie w tym pokoju i na tym dywanie. Z dołu słychać było konkurs studenckich orkiestr jazzowych.

W ich stosunkach na oko nic się nie zmieniło. Nie rozmawiali ze sobą, nie chodzili do kina, nie byli razem. Tylko co jakiś czas patrzyli na siebie nagle ostro, nie mogąc oderwać wzroku, Witek czuł narastające podniecenie,

Ola nikała pisząc na kartce albo w jakimś zupełnie przypadkowym miejscu - oszując na sobie jego warok - godzinę i potem zastawał ją w mieszkaniu koleżanki, w spodniach i bluzce, ale już zupełnie bez nieszego pod spodem i kasha-
li się z niemiłą Witkowi gwałtownością, żeby potem mów przez tydzień czy dwa nie odeszła się do siebie ani słowa.

Mał wrażeń, że w tym czasie, a może nawet trochę wcześniej. Wittek powinien wnosząc wątpliwość w posłannictwo swoich studiów. Uczestniczył w cynicznych rozmowach swoich kolegów, sam był w nich cyniczny jak i oni, i niby była to poza, niby tylko tak wypadło, ale w tych zachwianych egoistycznych postawach było też i trochę prawdy o nich. Wiedział jak wchodzi się ojciec, częściej już od roku przebywający w szpitalu niż w domu, wiedział, że gdyby nie czterdziestoletnia lekarka już dawno nie przyjeżdżaby go do szpitala, żeby nie psuć wskaźników, bał się przyszłej odpowiedzialności, zupełnie nie rozumiał Oli i wielu innych ludzi wokół siebie - jednym słowem coraz dokładniej uświadamiał sobie, że to co robi, to nie jest to, co robić powinien. Z drugiej strony - nie wiedział co robić powinien.

Ojciec cierpiał i był jeszcze bardziej małomówny niż zwykle, ale Wittek w dalszym ciągu czuł, że ojciec obserwuje go i dla siebie - ocenia. Z jego spojrzeń, humoru, napięcia głosu, rozumiał kiedy ojciec akceptuje coś w jego życiu, a kiedy nie i coraz częściej całkowicie, choć w milczeniu zgadzał się z jego sądami. Prześladowa-

ła go myśl, że ojciec chce mu coś powiedzieć i że odkłada to na ostatnią chwilę. Zaczął pilnować tej chwili, troska o ojca stopniowo zmieniła się w ekshibicję, żeby nie przegapić, żeby zdążyć machowując całym czasem pokory troski, ale coraz częściej dawoniąc do domu i odkładając słuchawkę, kiedy tylko usłyszał jego głos - niby nie mógł pytać co kilka godzin "jak się osujessa, tato" - wiedział, że usuniesz, które kabe mu odkładać słuchawkę jest wstyd. Wakacje spędził w łodzi.

Na jesieni Ola wróciła później z wakacji, była z rodzinami u rodziny w Kijowie i już pierwszego dnia, był listopad, zetknęli się wrokiem. W dwie godziny później Witek mógł wbiegać na klatkę schodową mieszkania jej koleżanki, ale w ostatniej chwili wrócił z półpietra do samochodu. Po kilku sygnałach ojciec podniósł słuchawkę. Witek chciał odłożyć swoją, ale ojciec spytał:

- Witek?

- Tak - powiedział Witek po chwili.

- Zabierają mnie do szpitala, jest Krystyna. Chciałbym ci powiedzieć, bo możesz nie zdążyć. Nie nie musisz.

- Tato... czego nie musisz?

- Niczego. Nie nie musisz, chciałem, żebyś wiedział.

Ojciec odłożył słuchawkę, Witek pojechał do domu. Ojca już nie było. Pojechał do szpitala, ale nie zdążył. Spokojną, czterdziestoletnią Krystynę bez kitla, sebaszył przed szpitalem na ławce. Usiadł koło niej.

- Kazał ci powiedzieć, że nie nie musisz - powiedział, bo przecież mogli być już dawno na ty. - Mówił, że nie nie ma znaczenia, bo to i tak boli.

- Bolało go?

- Ciało nie. Ale nie chciał...

Jak powinien wyglądać pogrzeb w listopadzie? Powinien być deszcz, smutne, bezlistne drzewa powinny wyrażać smutek ludzi w tym miejscu. Ale akurat było ostre jesienne słońce, a liście trzymały się tego roku dłużej niż zwykle. Witek machinalnie ramięm gładził ziemię i bez żadnej myśli w głowie czekał, żeby wszyscy poszli. Wiedział, że to, co ma pomyśleć, pomyśli później i kiedy został sam, miał już ułożone zdanie, które dużo wcześniej nieświadomie musiało w nim tkwić. "Spotkamy się tam i powiesz mi wszystko wtedy". "Wszystko mi powiesz kiedy się spotkamy tam". "Kiedy się spotkamy tam, powiesz mi wszystko". Klęknął pod tym zdaniem w różnych układach gramatycznych i zdążył jeszcze pomyśleć ze strachem, że ktoś już zdanie układało się w podobny sposób, całą uwagę skupił, żeby przypomnieć sobie komu, zobaczył nawet piękną amazonkę, która w cudowny majowy poranek podziła... kiedy ciocia, która czekała widać, żeby odszedł ksiądz, stanęła nad nim i położyła ręce na jego skulonych ramionach. Ciągle nie płakał.

- Nie kładź się - powiedziała mu, sapominając o liście mnogiej - tam nie ma.

Popłakał się dopiero na ulicy. Poszedł na dworzec, było już ciemno, oparł głowę o ścianę huki na samym końcu peronu i płakał, ciągle z tym zdaniem, i z amazonką w majowy poranek. Podszedł SOK-ista z zapaloną latarką, oświetlił ścianę.

- Leścisie?

Witek odchylił się, ściana była sucha.

- Wasne szczęście - powiedział SOK-ista.

Myślę, że w kilka dni potem powinien pójść do dziekana. Na korytarzu i w holu akademii medycznej poszedł się obco i unikał spotkania z kolegami, bał się rozmów, nie daj Boże kondolencji, wyrazów żalu. Tam schował się za żalozem i odwrócił tyłem, żeby przepuścić grupkę ze swojego roku. Dzekana nie było i musiał chwilę czekać w jego gabinecie. Wyjął przyniesione podanie o urlop dziekański i położył na biurku, potem przesunął je na mały stolik, przy którym siedział. Dziekan w białej, lekarskiej marynarce wszedł i od razu wy dostał z lodówki dwa kefiry. Jeden postawił przed Witkiem, otworzył, usiadł naprzeciw niego i przeczytał podanie bez słowa.

- Pan jest na trzecim roku?

- Tak.

- Wiesz jak pije.

Witek otworzył swój kefir, wypił kilka łyków i czekał. Dziekan zaskłotał.

- Przestał pan odesuwać powołanie?

- Tak.

- I?

Patrzył na niego szerzonymi oczyma zza okularów, z przeszylną głową, żeby resztkę kefiru wlać z pojemnika do gardła.

- Umarł mi ojciec kilka dni temu... Chciał, żebym był lekarzem, a kiedy umierał, powiedział, że już nie chce

Dziekan odstawił kefir.

- Chciałbym się nastanowić teras - skończył Witek, tylko tyle miał do powiedzenia. Dziekan podpisał papier i przystawił wyjętą z lekarskiego futerału pieszczotkę. Popatrzył na Witka.

- Myślałem, że pan wróci, jak tak na pana patrzę.

Oczywiście wszystko mogło potoczyć się inaczej. Syn dziekana tego ranka wrócił z Francji, przyswojąc kilkanaście wydawanych w Paryżu polskich książek. Gdyby na granicy celnik kazał otworzyć mu walizkę dziekan pewno nie udzieliłby Witkowi urlopu. Ale celnik liczył skóry wet, które znajdowały się w bagażu wracających z Indii filmowców. Witek był nagle w zupełnie innej sytuacji niż tydzień temu. Czy był wolniejszy? Gdyby go spytać, odpowiedziałby pewno, że tak. Czy oszł się bardziej zgubiony? Tak.

Już z torbą przecisnął się bez kolejki do kasy.

- Mam do Warszawy za minutę - wymruszał i nie słuchał protestów, niecierpliwie chwycił resztkę. Rozpędził się już od wyjścia z budynku, na przejściu usłyszał ruszający pociąg, jeszcze przyspieszył i na ostatnich nogach wskoczył do ostatniego wagonu szybko już jadącego pociągu.

- Dobrze, powiedział, że wskoczył.

Ale przecież równie dobrze pociąg mógł ruszyć 15 sekund wcześnie. Wtedy biegłby równie szybko, w poziomie peronu byłby o kilka kroków od rąski wagonu, ale przez kilka sekund identyczna odległość od tej rąski znaczący się zwiększała i Witek rozumiejąc, że nie dogoni, stopniowo wytraciłby szybkość.

I równie dobrze, znany nam już, akuratny SOK-ista mógłby tego dnia szybciej wypić popołudniową herbatę i w tym czasie, kiedy Witek kupował bilet - znaleźć się na peronie z którego odjechała pociągowa do Warszawy. Gdyby zobaczył pędzącego z niewygodną, oddalającą od ciała torbę, z obowiązkami, z poszczególnymi porządkami, a także dla dobra gonionego, SOK-ista stanąłby, niby nie, tyłem, a kiedy Witek byłby blisko, raptownie odwróciłby się i złapał go w rozwartą ramioną. Witek dyszałby z wściekłością, SOK-ista przyjrzałby mu się uważnie, kiedy Witek jużby się nie wyrwał. - Łał pan tutaj kilka dni temu - powiedziałaby pewno - teraz chce pan w biegu wskazywać. Ale SOK-ista pił herbatę tak długo jak zwykle. Zauważył, że ani czas picia herbaty, ani chwila, w której pociąg ruszył, nie zależała od Witka. Witek przyszedł na dworzec o określonej godzinie, w określonej sekundzie - a dalej wszystko mogło potoczyć się różnie.

Ale potoczyło się tak, jak się potoczyło i zakończyło. Dobrze.

Witek pogachał oddalającą się łodzi. Pewnie myślał, że już tu nigdy nie wróci, a kiedy odjeżdżał od tego miasta, dysząc w pociągu, którego dopadł, zrobił na zroszonej oddechem szybie znak krzyża - miał prawo tak myśleć. Choć przecież to miasto nie złego mu nie zrobiło. Ale miał nadzieję, właśnie nadzieję, a nie przesudzie, że tam, gdzie jedzie znajdzie to, co nazywamy sensem, a co dla Witka było teraz tylko jakimś sposobem na życie. Powiedzmy, że tak myślał, to może być prawdopodobne, skoro narysował krzyż w parze swojego oddechu.

- 19 -

Brata swojej matki nie znał nigdy przedtem, więc teraz w oboym domu czuł się nieswoje. - Ciekaw byłem, czy się kiedyś ogłosisz - powiedział wuj kiedy tylko Wittek wszedł. Miał 50 lat, był przystojny i szpakowaty, zawsze w krawacie. Jego żona grała na fortepianie w dobrej orkiestrze, dlatego pewno mieli dwuposiomowe mieszkanie na Ursynowie. Wuj lubił się samysłać oparty o fortepian, wprawiając w ruch metronom, to widocznie przesunęło go w inny wymiar. Rano był presem bogatego, warszawskiego klubu sportowego.

- Nigdy nie mogliśmy zapomnieć twojemu ojcu, że zostawił Ewę samą wtedy - powiedział teraz właśnie, czekając aż metronom się zatrzyma, żeby znów delikatnie popchnąć go palcem.

- Był w strajku. Teraz to się wydaje kompletnie bez sensu, ale wtedy musiało być ważne.

- Było, było. Tylko Rwa była zawsze najlepsza z nas wszystkich.

Okazało się, że wuj poznał swoją żonę Irenę właśnie przez siostrę. Razem uszyły się w szkole muzycznej, o czym Wittek nie wiedział, a jego matka była w tej szkole od kilku lat najzdolniejszą pianistką. Wuj nie mógł się nadziwić, że ojciec nigdy nie opowiadał o tym Witkowi.

- W ogóle mało mówił - powiedział Wittek i wspominał o tym pisaniu ósemki i o jedzeniu lodów razem z kawą i uśmiechnął się do wspomnienia wspólnego z ojcem obiadu w Łódzkiej "malinowej".

- Ma podobny uśmiech - powiedziała siostra.

- Taki sam.

- 20 -

Rozmawiali, a Witek oglądał dokładnie kilkanaście zdjęć matki. Przy fortepianie, rozmawiana, na wysieczeniu, przy pierwszej komunii.

- Tylko ona w naszej rodzinie wierzyła - powiedział wuj, kiedy zobaczył, że Witek dotarł do tego zdjęcia.

- Pewno dlatego ojciec posłał mnie do komunii.

Chwilę milczeli.

- Co teraz? - spytała ciotka, która była mała, łagodna i szara.

- Nie wiem...

- Ale co? Pracować, uczyć się, nie nie robić?

- Nie wiem.

Wuj uchylił wieko fortepianu i zagrał kilka nut smutnej wojskowej piosenki.

- Głupie pokolenie - powiedział bez wstępu - nawet nie zdążyliśmy być na wojnie.

- A ja nie zdążyłem, jak ojciec umierał.

Może Staszek, kuzyn i rówieśnik Witka, działacz młodzieżowej organizacji był przy tej rozmowie od początku, a może przyszedł dopiero teraz. Możliwe też, że cała rozmowa odbyła się późnym wieczorem, już przy rozłożonej pościeli na wygodnej kanapie i w szlafrokach. Pewno impulsem do tej wojskowej melodii mógł być głośny nagły hymn puszczonego po zakończeniu programu w uruchomionym telewizorze. W każdym razie rozmowa w ogromnym pokoju dwupokojowego mieszkania miała i swoją część praktyczną.

- A pieniądze? Za co chcesz żyć?

- Mam na książeczce, ojciec odkładał mi po 500 zł. przez 5 lat... Jeszcze ze 20 tysięcy mam...

- W każdym razie możemy pracować w klubie, jak chcesz. W administracji albo na korcie...

- Albo u mnie - powiedział Staszek.

- To masz?

- W Radzie Główniej.

- Za działalność?

- Za działalność.

Witek wybrał z tego korty. To były elegancie korty koło mostu kolejowego i już od siódmej rano przychodziłi tam znani aktorzy, dziennikarze, niektórych esterzies-tolaków przywozili kierowcy. Nie był zbyt zaciekawiony tym światem, żarty aktorów przeważnie takie same, opowiadania anegdotek i luźny stosunek do życia nie imponowały mu, ale zawsze ciekawe były rozmowy dziennikarzy, zwłaszcza jeśli komplikowała się sytuacja międzynarodowa. Dziennikarze czytali regularnie zagraniczną prasę, znali komunikaty, mieli także własne źródła informacji. Powoli przekonali się, że nowy kortowy jest człowiekiem inteligentnym i czytającym, polubili go i Witek często gadał z nimi zarywając prasę. Grze na kortach przyglądało się zawsze paru chłopców. Nie mieli kart wstępu, ale nie przeszkadza- li i Witek wpuszczał ich na kort, żądając tylko tramppek lub tenisówek. Zorientował się, że gdyby chłopcy poduma- li piłki, grzeze skracając czas gry o 15 minut i tak gra- liby dłużej niż teras, uganiając się po całym placu. Do- gadał się z kilkoma dziennikarzami i aktorami - skrócił im czas pobytu na kortach, a w zamian za to już po trzech godzinach uzyskiwał 45 minut i na tę lekcyjną godzinę wpus- cał chłopaków. Kiedyś zagnał się właśnie ze znany ko-

mentatorem TV, chłopcy już grali i pojawił się wuj na Staszkiem, żeby w biurze obgadać przychodne Radzie Głównej godziny gry. Przywitali się wszyscy, oni poszli sałat-
wiad, komentator wytłumażył Witkowi co znaczą naprawdę
nieudana amerykańska interwencja w Iranie i pojechał,
a wuj wychylił się przez okno biura i zwołał Witka.

- A ci to kto? - spytał, pokazując chłopców.

- Chłopcy. Podają piłki, każdy odda szętnie 15 mi-
nut, żeby nie laład po korecie, więc ich potem wpuszczam
jak zarobię trochę czasu.

- Mają karty?

- Nie.

- A płażą?

- Też nie.

- To nie możesz ich wpuszczać!

- Szkoda - powiedział Witek - ten w kapturach dob-
rze by mógł grać...

Staszek też wychylił się przez okno.

- Stuknij go po linii młodzieżowej - powiedział
o ojcu. - Możesz?

- Jak to?

- Inicjatywa młodzieży. Lepsze wykorzystanie kor-
tów. Młode talenty, będą musieli pozwolić.

- Fakt, będziemy - powiedział wuj.

- Ale tu nie ma żadnej organizacji - pomyślał Wi-
tek i powiedział to głośno.

- To załóż.

W pokojach Zarządu Dzielniceowego zawsze jest tłok
i sałatwia się masę spraw na raz, często w biegu. Jakaś

grupa wyjechała do Rumunii na spotkanie miejskich organizacji, rozstrzyga się propozycje współzawodnictwa, które miały być stojące a są do wtykania, ustala się skład na rozmowę z PKOl-em. Witek już zorientowany w tym rozgardiaszu dostaje jakiś podpis od szefa organizacyjnego i sam przystawia sobie pieczętkę na biurku ciewnej dalewosyny, która akurat gada przez telefon, wraca do organizacyjnego, który też gada i gestem zatrzymuje Witka, żeby, nie wychodził. Witek myśląc, że chodzi o podpisane pismo, pokazuje mu jeszcze raz, już z pieczętką, ale tamten nie chce, kiwa przecząco głową i słuchając widać potoku słów, które zna z tamtej strony, zakrywa ręką tubkę i mówi - Warnujesz się na tych kortach, tak - wtrąca do słuchawki - tak, tak. - znów patrzy na Witka - po co ci to? Przyjdź do nas.

- Tu? - pokazuje Witek gestem pokój, gmach, organizację.

Tamten kiwa głową, pewno, że tu. Wpadł dopiero teraz na ten pomysł, ale wydał mu się od razu świetny, już przekazał słuchawkę siedzącemu za biurkiem wasaszowi i wyciągnął Witka na spokojniejszy, ale też ruchliwy korytarz.

- Patrz - powiedział - załatwiłeś tym chłopkom, że grają, wpuściłeś zawodówkę na basen. Chcesz coś dla nich zrobić, nie?

- No właśnie nie wiem... tak jakoś mi się zachciało...

- Tym bardziej. Tu od razu możesz więcej. Dostaniesz maturzystów, albo studentów, możesz dostać najwięcej

szych ze szpitala, narkomanów. Chcemy wyśledzić takich chłopców, którzy gdzieś się zamknęli kręcić przy różnych nielegalnych... zakładach w szkole tajny rząd?

- Zakładałem, w naturalnej. Rok mi przepadł.

- Ja też, prawie wszyscy zakładali, ale teraz bawią się niebezpieczniej, bo od razu mają ich na oku tamci, my też musimy. Możesz to dostać...

Ile rzeczy i spraw załatwił organizacyjny, jak tak gadali pod oknem! Podpisał ze trzy pisma, umówił się z kilkoma chłopakami, coś kazał odpowiedzieć przez telefon i zamówił kawę u szatniarki.

Nie wiadomo kiedy Witek zapuścił sobie wąsik, ale was był wyraźny kiedy kręcił się po pustym, Łódzkim mieszkaniu. Wyszedł ze swojego i bez pukania wszedł do dużego pokoju ciotki. Siedziała w okularach nad jakimś papierem.

- Przeczytała ciocia?

- Siedaj, pomogę ci.

Witek usiadł i zaczęli głośno wypełniać formularz kandydata do organizacji. Kiedy doszli do stanu rodzinnego kandydata, ciocia nagle popłynęła łzami.

- Tak się pusto zrobiło tutaj, kiedy odjechaliście... obaj...

- Przecież ciocia nawet nie rozmawiała z ojcem.

- Pusto...

Ktoś zapukał, Witek otworzył drzwi znanemu aktorowi, temu samemu, którego żarty nie śmieszyły go specjalnie na korecie.

- Pan obejmie tu w Łodzi teatr - przedstawił go Wittek.

- Widziałem pana wczoraj w telewizji... pięknie pan grał.

- Dziękuję bardzo - powiedział aktor, przyswyssałony do komplementów, ale nawase uroczy w podziękowaniach.

- To tutaj?

- Tu ciocia... a tam to sąsiednie drzwi.

Wpuścił go do swojego mieszkania, ciocia ciągle trzymała w rękach do połowy wypełniony formularz.

- Nie wiem czy się do tego nadajesz, ale wiesz...

Przyścięgnęła rękę, którą ją podtrzymywał i uśmiechnęła się.

- Piękny punkt... i bardzo blisko teatru - powiedział w przelocie oglądania aktor.

- No głaby ciocia do mnie przyjeżdżać, jak już się zamienimy. On mi daje dobrą kawalerkę na Żelazną Bramę.

- W kawalerce mieszka?

- Nie, mieszkanie sobie zostawia. Na taką kawalerkę na pracowni, czy coś. To mi daje. Mogłaby ciocia przyjeżdżać.

- Już zostanę tu. Jak ktoś mieszka, będzie się ruszał, będę myślała, że to wy.

Wyślałem też o tym, żeby zamiana mieszkania odbywała się dlatego, że ciocia nie czuje się już dobrze, że postarzała się i zniedołężniała przez ten czas, przycupnęła nagle po stracie brata i trochę ze strachu, a trochę z tego, że nawase radziła sobie sama, przenosi się do domu starców. Mam jednak wrażenie, że wariant łagodniejszy jest lepszy. Zobaczymy.

W hangarze na Okęsiu 30-letni mechanik skończył sprawdzanie silnika odrzutowego samolotu. Odszedł kilka kroków i dał znak do kabiny, że gotowa. Z kabiny wykonali manewr. Mechanik posłuchał efektu tego manewru, podniósł do góry kciuk, że w porządku. Z kabiny wyszedł mechanik z zagranicznej obsługi samolotu.

- Pan się nigdy nie wyli, panie Buzek - powiedział po francusku.

- Nigdy - powiedział Buzek. - Właśnie się tylko ożeniłem.

- Ja też - powiedział tamten. - To jeszcze trudniej.

Ten Buzek przypomni nam się jeszcze kilka razy. Łatwo napisać "Buzek" i zwrócić na niego uwagę. Powinien jeszcze wyglądać tak, że kiedy się tylko pojawi, nigdy nie będziemy mieli żadnych wątpliwości - to on. Może będzie gruby, roześmiemy? Powiedzmy.

O ścieżce dziewczyna po cichu wyślizgnęła się z łóżka. Ubrała się, poszła na siebie wzrok Witka i już bez zwracania uwagi na to, żeby było cicho, jeszcze w bluzce przyniosła mleko zsa drzewi. Postawiła na krzeselku przed łóżkiem. Podszła do szarego cienia i założyła bluzkę. Usiadła obok łóżka.

- Głupio, nie?

- Czemu? - spytał Witek, choć dobrze wiedział czemu.

- Bo nie nie czujesz.

- Czemu myśły nie poszli do łóżka jak mieliśmy po siedemnaście lat?

- Pewno właśnie dlatego. Nie wiedziałeś jak to zrobić.

- Nie wiedziałem...

Rozedźmiała się.

- Kretyńskie to powiedzenie, że włośność nie rdzewieje.

- Kretyńskie.

- Tak myślałam. W dodatku także się rozleźli...

Przejechała mu palcem przez szczołę i po garbie nosa, a kiedy chciał ją poszukać, kiedy palec zawisł nad ustami, jak to widać kiedyś robili, cofnęła rękę, wstała iabrała kurtkę z wieszaka.

- Czuska! - zawołał Witek.

- Idę do moich - powiedziała Czuska od drzwi.

- A to nie są twoi.

Witek oderwał się od grupy ludzi stojących przed szarym, niewielkim budynkiem. Milicyjny radiowóz palił światła. Podszedł do zamkniętych drzwi.

- Wład legitymację - powiedział ktoś z wnętrza. Witek wsunął. Drzwi otworzyły się. Witek wszedł i stojący wewnątrz chłopak z długimi włosami natychmiast zatrzasnął wszystkie zasuwki. Kiwnął na Witka. Przeszli przez portiernię, w której siedziało dwóch podobnych chłopaków i dziewczyna, przeszli przez korytarze, które przypominały czasem szpital, czasem szkołę, a czasem internat. W holu leżeli, siedzieli, ławili - kilkudziesięciu bardzo długo i bardzo krótko ostrzyżonych chłopaków i trochę słabo dbających o wygląd dziewcząt. Patrzyli na idącymi. Chłopak z krótką szupryną o dość mętym spojrzeniu, stanął w poprzek drogi.

- Z Warszawy - powiedział przewodnik. Tamten usunął się.

W dużym pokoju - dyżurna? pokoju namerzyieleckim? - przed kanapą, stołu i krzesła, stały z jakimiś tekstami, teras rozwalonej i wyraźnie przesuszonej, krata odgrabszała jeden z narożników. Drzwi tej drugiej klatki były zamknięte, a w środku siedziało trzech młodych mężczyzn i jedna kobieta. Dwaj mężczyźni ubrani byli w lekarskie kitle. Przewodnik wpadł do pokoju i natychmiast wyszedł. Trzech, podobnych do tych z korytarza chłopaków siedziało wokół stołu, na którym stało kilka kanistrów z benzyną.

- Jeszcze mamy dziesięć - powiedział jeden z chłopaków od stołu.

- Wszystko się sfajnowy w pięć minut.

Witek nie wiedział jak się zachować. Podszedł do stołu, podał rękę chłopakom, powiedział kim i skąd jest.

- Zadzwoń, że jesteś - powiedział ten od kanistrów, widoczny przywódcą. Witek zadzwonił, powiedział co trzeba i dodał, że nie wie.

Usiadł przy stole.

- Jak w Ameryce - powiedział przywódcą i rozśmiał się. - Od kiedy objeście tu patronat, dwóch chłopaków i dziewczyna przetrwali się.

- Jak to?

- Ona się otruła, a ci dwaj - smarem. Ostatni siedział przez ostere dni w tej klatce. Nie chcemy, żeby nam ludzie wyskakowali przez okno, przez to, że wam się wydaje,

że młodych najlepiej zrozumieją młodzi.

Poswolili przez krótko pogadać Witkowi z dyrektorem ośrodka. Siadali już w klatce od rana - dwaj lekarze, terapeuta i wychowawca. Reszta personelu usiekła. Dostawali jeść. Presentowali pogląd, że to co robią, robią dla dobra zamkniętych w ośrodku narkomanów. Narkomani zaś żądali, żeby ich ośrodek miał status szpitala, żeby mogli wychodzić popołudniami i w niedziele, żeby cofnąć młodzieżowy patronat i zatrudnić normalnych lekarzy i naukowców. Przewódca otworzył kamister, oblał sobie rękę benzyną i podpalił. Trzymał zapaloną przez kilkanaście sekund, potem spokojnie zgasił. - Nie бойсь się - powiedział i snów zachichotał. - Jak w Ameryce!

Witek chciał porozmawiać ze wszystkimi, wyszli do holu. Otoczyli go ze wszystkich stron. Witek nie czuł się bezpiecznie i kiedy zaczęli mówić dość chaotycznie i bezładnie, ktoś od okna krzyknął - i uciekli! Rzeczywiście widać było oswótkę niedźwiedzi więźniów uciekających przez podwórne, dziewczyna kulała, musiała skrócić nogę przy skoku z tego niewysokiego pietra. Kilku wbiegło do dużego pokoju i wypadli, lejąc benzynę z kamistrów. - Nie ład! - krzyknął przewódca - wamy jessona jesso!

Zamknęli Witka w drucianej klatce. Poznuł się właściwie dobrze i szlachetnie - jako zakładnik. Podali mu telefon i mógł zadzwonić, przekanując warunki. Był zdania, że należy się zgodzić, ponieważ, twierdził do telefonu,

oni mają rano. Przewódca wyrwał mu słuchawkę i zapowiedział, że czekają na wiadomości do 8 rano. Potem podpalą. Przyniesli z piwnic miednice przelali tam benzynę, potem porostawiali miednice po całym domu, bo przy tej próbie lania zobaczyli, że benzyna wyjątkowo długo wysieka z kumistra. Przewódca wziął jedną z miednic i nagle oblusnął Witkowi na nogi. Witek aż skoczył do ściany. Tamten wyjął zapalnik i zapalił papierosa i powoli schylił się. - Nie bój się to woda - powiedział gasząc zapalnik w kałuży. - Tylko na próbę, jak się leje.

W nocy ktoś nagrał na gitarze i posuszył Witka skretem z domieszką Marii Hi, ale nie nie czuł. Dał mu drugiego, wrażenie było takie jak po dwóch setkach. Zadzwoił telefon i Witek odrzucił propozycje, żeby użyć siły. tłumaczył, że nie można używać siły przeciw ranoj, pytali go czy się boi, powiedział, że nie. Ale prawda była taka, że czuł się dobrze i dlatego bo się bał.

- Jeżeliśmy się pomylili - skończył rozmowę - trzeba się wycofać.

Niedługo potem telefon zapowiedział zgodę na warunki. Witek musiał tylko wynegocjować, że na wyjście z ośrodka wydawane będą przepustki, i że nie będą one automatyczne. Nad ranem miało dotrzeć pismo. Ze wszystkich opóźło napięcia, otworzyli drzwi klatki, ale Witek nie wychodził. Chciał poczekać z nimi do rana.

Busek wrócił po południu i schodził po pokojach meżego domu na przedmieściu. - Werka! Werka! - wołał. Wyseł i z domem zobaczył ojca kopiącego coś w ogródku.

- Nie widział tata Werki?

- Wyszedł koło południa, nie widziałem.

Busek podszedł bliżej i zobaczył wesołe osoby ojea.

- Czemu tata taki zadowolony?

- Wraca do Garwolina.

- Czemu?

- Zlikwidowali patronat, z powrotem ma być szpital normalny. Powiesiło się dwóch obłąków, dziewczyna wyskoczyła oknem i zlikwidowali. Taka Maryna, opowiadałem ci, pamiętasz?

Po tym incydencie z markomkami i benzyną Witek jeszcze mocniej uwierzył w sens działania, i to działania tam właśnie gdzie się znalazł. Nie był tak naiwny, żeby nie wiedzieć, że gdzieś po drodze dzieją się rzeczy niebytu czyste, że główny tor działania organizacji nie zawsze zgodny jest z ideami, dla których ją powołano, ale często z satysfakcją uważał, że coś zostało zrobione i stoi, że jakaś sprawa została zakończona i ludziom jest lepiej. We wszystkich działaniach szuł za sobą siłę aparatu i presję masy ludzi, których - wierzył w to głębiej - doprowadziły tutaj nie potądówki i wosasy i nie perspektywa kariery lub tylko spokoju, właśnie wiara w sens działania dla poprawy i ku dobremu. Kiedy rozmawiał o tym ze Staszkiem lub z wujem - sportowym prezesem, widział w ich oczach uśmiech nad jego naiwnością właśnie i szepakiem, ale też widział rodzący się szacunek. Staszek wprowadził go do Rady Głównej, a tam nakreślił jego możliwości i kompetencji poprawił się znacznie. Bardzo możliwe, że

zajął się organizacjami studenckimi w domach akademickich. Kiedy lubelscy studenci w ramach chrześcijańskiej pomocy chcieli opiekować się pensjonariuszami domu nielegalnie chorych, zapomnianych już zupełnie starców, gdzie permanentnie brakowało personelu, a władze nie bardzo chciały ich tam wpuszczać, Witek pojedechał i załatwił wajscie, a potem zorganizował autobus, którym studenci mogli dojeżdżać do swoich pensjonariuszy, spowodował, że w domu tym ustały kradzieże prowiantu, o który starzy i zniechęceni pensjonariusze nie mogli się nawet przypominać. W czasie swojej tam obecności i wrażenia, które zrobił, udało mu się doprowadzić do sytuacji, w której kilku studentów wstąpiło do jego organizacji, widząc skuteczność posynan. Kiedy wyjeżdżał, domem starców opiekowała się już Rada Wojewódzka, a podobne akcje proponowane w innych województwach, często ze skutkiem.

Do Luźni i idei studentów z Lublina Witek dotarł przez Czuszka, którą spotkał kiedyś w warszawskim akademiku, gdzie na skutek niedogrzenia przyszli inżynierowie porobili miejscowe urządzenia elektryczne o takiej mocy, że po kilku dniach elektrownia wyłączyła prąd, a kiedy puścili gorącą wodę plastikowymi rurami, tworząc zamknięty obieg i doprowadzając do znacznej temperatury w pokojach, i wtedy wyłączono im tę gorącą wodę, a studenci odmówili chodzenia na wykłady - właśnie Czuszka patrzyła na posynania Witka ze złością, siedząc w stołówce, owinięta w kilka kocy, ale kiedy Witek sprowadził władze miejskie, kontrolę San-Epidu, kiedy na skutek tej

działalności powyjmowano krysy w kaloryferach i w pokojach przestała s marać woda, a o i s akademika snów nasze li ehozić na wykłady - Czuska nie patrzyła juź w ten spo- sób. Kto wie, czy wszystko nie poszło tak, jak poszło właśnie dlatego, że Witek zobaczył jej wysuwające spoj- rzenie, kiedy pierwszy raz znalazł się w tej samej i ciemnej stołówce i zrozumiał w tym spojrzeniu, że są te- ras w zupełnie innych miejscach, a on naprawdę wcale tak nie myślał, a na pewno tak nie chciał. Potem Czuska wpro- wadziła się do niego i okazało się, że te sześć lat od czasu ich przedostatniego widzenia w pierwszej klasie ma- turalnej Witka i te kilka miesięcy kiedy widzieli się u niego w domu - to był dla nich czas utracony, a nasdrość o ten czas i o ludzi tam spotkanych, o te miłości i krót- kie i przypadkowe była tak gwałtowna, że Witek musiał so- bczasy tych wszystkich mężczyzn i chłopców, obgryzając pannockie do gołej skóry karcąc się na każdego, który dotknął kiedyś Czuski. Tak właśnie poznał brodacza z Lublina, który spędził kiedyś z Czuską wakacje, a teraz próbował się opiekować niedożędnymi staruchami.

Juź po Lublinie Witek obejrzał transmisję z poby- tu Papieża w Polsce i zrozumiał, jak bardzo mu jest blis- kie to co mówił ten osłowiek, wobec takich ilości ludzi, jak bardzo jest to mądre i piękne i jak bardzo jest to nie jego, to mądre i piękne. Może być i tak, że Witek poznał te słowa w innych okolicznościach. Na wyjeździe do Włoch zorganizowanej przez swoją Radę, urwał się w śro- dek po południu z oficjalnego programu, ze spotkań z włos-

ką młodzieżą komunistyczną osy ze świadania zabytków i picia włoskiej kawy w małych filiżkach i posłuchał tych słów na plaży św. Piotra w tłumie Włochów, turystów i rodaków, z których starsza sakonnaś zna srebrnych okularów przetłumaczyła mu te słowa. To też byłoby możliwe, a myśl o potrzebie takich słów o bliskości i obecności byłaby taka sama - na plaży św. Piotra i w domu przed telewizorem

Którejś niedzieli ojciec Buska wrócił z ręką na temblaku. Twierdził, że zwichnął rękę poślizgnąwszy się na wypastowanych schodach, ale wieczorem Werka, ciemnowłosa, trzydziestoletnia żona Buska, zobaczyła w łazience jak jego ojciec rozwinął bandaż i zmienił opatrunek na pastudnej ranie, którą długo przemywał wodą utlenioną, na tyle długo, że Werka zauważyła fioletowe ślady kilku dziur między dużym a wskazującym palcem. Powiedziała o tym Buskowi, powiedziała też, że ręka wyglądała tak, jakby ktoś whił w nią widelce. Busek wyskoczył z łóżka, byli wtedy akurat w dobrych stosunkach i spalił razem i Werka właśnie dlatego wybrała się w nocy do Łazienki, poleciał do ojca, Werka poszła za nim i z agresywnego tonu, jakim Busek koniecznie chciał się dowiedzieć kto to ojca zrobił i ze spokoju z jakim ojciec odmawiał odpowiedzi, z podejrzenia Buska, że musiał to zrobić któryś z tych wężaczy Ixi i z upartego milosentaojca z próbą uspakajającego uśmiechu, zorientowała się, że źle zrobiła, mówiąc Buskowi o tej ręce wyglądającej jakby dopiero co ktoś wyjął z niej widelce.

- 35 -

Co by zrobił Witek, gdyby chciał, żeby to ładne i piękne, to co uwalniał od wstępnymy w białej sukni, było on mogło być bardziej jego?

Może na obóz wakacyjny dla młodych małżeństw, gdzie program przewidywał różne konkursy i wygrywanie pralek, a na finałowym obozie - małego fiata, Witek chciałby zaprosić kogoś, kto mówi podobnie nie odwołując się do tajemnicy i niepoznawalnej ehad istniejącej sprawiedliwości. Z młodzieńskich lektur pozostał mu prof. Kotarbiński i życie godziwym, ale Staszek natychmiast uświadomił mu, że dziś Kotarbiński nie jest już w stanie propagować swoich idei, więc Witek przypomniał sobie z TV prof. Jankowskiego, który mówił o etyce i moralności i Witkowi we wspomnieniu zrymowało się to z hasłami z najwyższego siemskiego tronu. Prof. Jankowski okazał się na obozie człowiekiem dużo ciekawszym i bardziej detykalknym niż jego wspomnienie z TV i Witek był bardzo zadowolony z przebiegu długo w nocy ciągnącej się dyskusji o sensie życia. Młode małżeństwa studenckie uwolnione na chwilę z przymusu doprowadzenia swoich żonek do stanu idealnej czystości, okazały się wyjątkowo chłonne na podstawowe wartości głoszone przez profesora, wyjątkowo zagubione wśród codziennej bieganiny i bardzo gorzkie w konstatacji braku nadrzędnego celu tej krzątany. W czasie dyskusji energicznie i ze swadą zabierał głos trochę starszy od innych facet w okularach. Mówił jak trzeba, o podstawowych wartościach, o wspólnocie celów, że wszystkie razem możemy, jeśli weźmiemy się za ręce, trochę nawet za gładko mu szło. Witkowi wydawało się, że

zna faceta. Kiedy tamten powiedział, że nawet kiedy wielu jest przeciw nam, musimy wytrwać i że wierność jest tak ważna w życiu każdego człowieka - Witek przypomniał sobie. To był ten dyrektor ośrodka dla młodych narkomanów, którego Witek widział raz tylko na białą siatką w pokoju niby naukowców.

- Stary, wzięliśmy ci jestem - powiedział były dyrektor, kiedy potem Witek się przypomniał - wyjeżdżam na kontrakt do Arabów. Gdyby nie ty, tkwiłbym do dziś w G wolinie.

Witek nie mógł pogodzić jego działalności w ośrodku z tym co dziś mówił, wszak to rases nie pasowało zupełnie do kontraktu zagranicznego. Wyraził więc wątpliwość.

- Jest takie powiedzenie - powiedział tamten - czy ornitolog musi umieć frasać?

Buzek odwiedził ojca w szpitalu. Ręka nie goiła się dobrze, ojciec zaniedbał widać ranę. Buzek był człowiekiem honoru i kochał ojca. Kiedy podszedł do okna powiedział: - Wiesz, kto ci to zrobił, tato.

- Skąd?

- Wiesz.

- Gdzie jest Werka? - spytał ojciec, bo wiedział, że przy Werce jego syn jest spokojniejszy.

- Znow pojechała do Łodzi. Mam dzisiaj po nią wyjść - powiedział Buzek i jeszcze bardziej zaciął się w sobie.

Taki mógłby być los Witka Długosza, gdyby udało mu się dopędzić pociąg odjeżdżający z Łodzi do Warszawy. Być może, mogło potoczyć się to trochę innymi drogami, ale kiedy wskoczył - kierunek był właśnie taki. Być może powinien kiedyś przypadkiem, w przelecie spotkać Buska. Może nie powinien zajmować się studentami tylko rolnikami, albo chłopcami ze szkół budowlanych. Możliwe, że zaczęłyby nie na kortach tenisowych tylko w instytucie dla głuchoniemych, bo przecież brat jego matki nie musiał być wcale prezesem klubu sportowego, ale doszedłby i tak tam, gdzie doszedł. Wierzyłby, że organizacja może coś zrobić, może pomóc, jest najpraktyczniejszym sposobem realizacji.

Ale gdyby nie wskoczył?

Gdyby znajomy SOK-ista wypił tamtego dnia szybciej swoją popołudniową herbatę i przedaj znalazł się na peronie, a widząc przedniego z niewygodną torbą studenta, z poznanawania obowiązku, dla dobra biegnącego, chwycił Witka w rozwarcie nagle ramiona? Witek dyszałby wściekłością, SOK-ista poznałby w nim chłopaka, którego oświetlił niedawno na tym samym peronie i powiedziałaby:

- Łał pan tu kilka dni temu, a teraz pan chce w biegu wskakiwać.

Powiedzmy, że tak się stało. Stali teraz na peronie, Witek jeszcze raz wyrwał się SOK-istocie, ale ten pogonił za nim z wrzaskiem i złapał go, zmęczonego poprzednim biegiem, może nawet przy pomocy przechodniów na końcu

peronu. Witek tak dłużej szarpał się i miotał, już biały z wściekłości i nie pamiętajmy o niczym, aż radiowóznicy wezwany przez kolegów SOK-isty zlikwidował całą sprawę.

Na kolegium Witek nie okazał skruchy. Jak wtedy z naukowcem, tak i teraz nie bardzo mógł wykrzusić logiczną obronę. Mówił o śmierci ojca i pilnym wyjeździe do Warszawy, musiało zrobić to jakieś wrażenie, bo kara nie była zbyt wysoka. Tydzień prac publicznych lub trzy tysiące złotych grzywny. Witek wybrał pracę, ale oszł się ukarany niesłusznie, niesprawiedliwie i nie mógł polubić karzących. Wśród pracujących z wyroku kolegium był chłopak, który udostępnił swoje mieszkanko wykładowcy w Warszawie, który nie wykladał już na normalnym uniwersytecie, znajdował natomiast ochotnych słuchaczy w różnych miastach Polski. Wykłady ciągnęły się długo w nocy, przychodziło na to wielu ludzi, i sąsiedzi uważali, że zakłóca się możliwość zagwarantowanego odpoczynku. Wśród ludzi skierowanych przez kolegium do prac porządkowych na piśniatwo inocone warszaski ci dwaj chłopcy wyróżniali się wyraźnie, nie dziwne, że polubili się wkrótce. Kiedy skończył się zadany tydzień Witek znalazł już w Łodzi wielu ludzi z kręgów Marka.

W tym czasie Łódź szykowało się na przyjęcie jednego z popularniejszych w Polsce ludzi, Anglika Harris. Marek zaproponował Witkowi pracę w społecznym Komitecie, który zajmował się organizacją tego przyjazdu. Harris przyjmował do leczenia 5 tysięcy ludzi dziennie, miał by przez trzy dni i te 15 tysięcy ludzi trzeba by-

- 39 -

że wyselekcjonować z kilkakrotnie większej liczby chętnych, a potem niesłychanie sprawnie doprowadzić do Wielkiego Lekarna. Na każdego pacjenta Harris miał tylko kilka sekund. Organizacja, zupełnie społeczna i spontaniczna rozwinięła się wobec tych potrzeb niezwykle starannie. Istniały poszczególne kręgi wtajemniczenia, przepunktki, kandydaci na pacjentów zobowiązani byli do przedstawienia zaświadczeń lekarskich, każdy z chorych miał wyznaczoną precyzyjnie godzinę przyjęcia, przy czym harmonogram obejmował ludzi dowożonych ze szpitala karetkami pogotowia i tych przynoszonych na noszach. Witek natrażył się tutaj tyłu na ras dramatów ludzkich, zobaczył tyłu potrzebujących pomocy i nadziei, że bez opamiętania rzucił się do tej roboty. Jako człowiek pracujący w sztabie uzyskał dwa numery wstępu, nie bardzo wiedział co z nimi zrobić. Ciotka, w myśl zasad zdezynowatyzacji odmówiła leczenia, które uważała za szalatanerie i w końcu Witek oba numery dał spokojnej, czterdziestoletniej Krystynie, która leżąc ludzi na co dzień, mogła z nich zrobić najlepszy użytek.

Kiedy Harris wyjechał, Witek odesunął pustkę. Zgłosił się do pośrednictwa pracy, zaproponowano mu pracę sanitariusza, dając do zrozumienia, że po swoich prawie czterech latach medycyny będzie mógł wykonywać i funkcje poważniejsze, z braku całkowitej dostatecznej liczby personelu medycznego, ale Witek absolutnie nie chciał wrócić do tego, od czego niedawno uciekł, a w co dawno nie wierzył. Zgodził się na pracę w drukarni. Ludzie od Harrisza też musieli odesunąć pustkę, bo któregoś dnia Marek

s kolega przynieśli do jego domu dużą paczkę. Zawierała ona książki, które miały przelatać kilka dni i potem we trzech mieli je rozwieźć po kraju. Witek wykorzystał na to wolną sobotę i zawiózł książki do Sanoka. Książki odebrał chłopak o wyglądzie hippisa, który od kilku już lat mieszkał i pracował w Bieszczadach. Witek przesiedział tam całą niedzielę, zobaczył jak żyją si ludzie, którzy kilka lat temu opuścili miasta i zakładając nieduże hodowle owiec, pracując jako drwale i mieszkając z daleka od najbliższych osiedli szukali dla siebie sposobu. Pogadali trochę i Witek szybko zrozumiał, że to se robią jest tylko dla nich i mimo dość niewyckłej urody takiego życia i szcunku dla ich ciężkiej pracy, namawiany na dłuższą wizytę, odjechał nocnym pociągłem.

Łudzi coraz częśiej miał wrażenie, że książki, które rozmawia, są oczekiwane. To sprawiło mu satysfakcję. Ponieważ pracował w drukarni powstał projekt, żeby zatrudnić go przy druku tych książek i zaczął przy takim druku pracować. Poznał tam syna swojego dziadka, który już nie był jego dziekanem. bo Witek po roku nie wrócił na Akademię. Lubił jednak dziadka i niechętnie słuchał słów buntu, których nie oszczędził mu syn. Nie był tak rygorystyczny i kiedy drukarnię nagłe zlikwidowano, zobaczył, że w żaden sposób nie może dowiedzieć się, gdzie jest inna, bo chciał przecież dla niej pracować i nauważył, że na spotkaniach gdzie śpiewano piosenki przy gitarze i czytano wiersze, coraz mniej ludzi jest mu przychylnych i chętnych.

- 41 -

Na jednym z takich wieczorów zobaczył ciewnego chłopaka w swoim wiaku. Kiedy tamten w tłoku przeszedł obok niego, Witek po sobie powiedział: óDaniel...

Chłopak satrzymał się, nie mógł poznać, ale to był Daniel. Witek przypomniał mu kolonie letnie, Czerwonkę i młodą wychowawczynię, na twarzą Daniela ożyło to wszystko, okazało się, że nie mają tu wielu znajomych i wyszli, jak nakazywał wyjeżdżaj, po kolei, najpierw Witek, poczekał na rogu i zobaczył koło siebie Daniela z trzydziestoletnią dziewczyną.

- Moja siostra - powiedział Daniel.

- Werka - powiedziała dziewczyna.

- Witek - powiedział Witek.

Daniel przyjechał na pogrzeb ich matki, powiadzianej z ojcem przed wielu laty, która umarła teraz sobie w swoim małym mieszkaniu w odległej dzielnicy Łodzi i sąsiedzi znaleźli ją dopiero po kilku dniach, kiedy pod drzwiami stały już ostere butelki pełne kwaśnego mleka. Werkę już snamy. To ona powiedziała Buzkowi, że rana ojca, którą przed chwilą widział w Łazience, wygląda jak po wyjęciu z dłoni widelca.

Peszli do Witka i do rana Daniel opowiadał o swojej Danii. Miał tam wszystko, ojciec budował autestrady, ale obaj, a szczególnie on, Daniel nie mogli uwolnić się od dojmującej tęsknoty i poczucia, że są za daleko. Mówił jak brzmi po duńsku "kawa" i "maleko", jak mówi się "przyjechałem do Łodzi tydzień temu na pogrzeb matki, a jutro muszę wyjechać i nie wiem kiedy wrócę", a nad ranem sas-

nęli na wspólnym tapczanie. Już o świcie Witka obudził cichy płacz, to Daniel z głową wtuloną w ramię swojej siostry płakał przez sen, a noże na jawie. Rano Witek odprowadził ich na dworzec. Kiedy Daniel kupował bilety, spytał Werki - Przyjedziesz do Łodzi?

- Za miesiąc. Równie za miesiąc.

- Chciałbym się spotkać jakoś...

Daniel wrócił z biletem. Dopiero z okna pociągu Werka wychyliła się chwilę wcześniej od brata i powiedziała - Poszukaj mnie.

W czasie tego miesiąca od Witka znów przyniesiono książki.

- Myślałś, że miałeś udział we wpadce tamtej drukarni - powiedział mu Marek - ale teraz wiemy, że chyba nie.

Witka ogromnie zabolalo to odejście, rozniósł książki, ale nie bardzo mógł się przebrać do dalszych kontaktów i kiedy opytano go, czy chciałby pracować znów w drukarni, powiedział, że nie.

Buzek jak zwykle dostał od francuskiej załogi kilka poestowych znaczków. Był chyba najlepszym mechanikiem na Okęciu i wszystkie załogi i krajowe i obce, chciały utrzymać z nim dobry kontakt. Buźnił zaufanie swoimi grubymi łapami i uśmiechem z nad wąsów.

Witek odnalazł Werke, kiedy przyjechała po miesiąc. Poszli na "Dziady" i po wyjściu długo nie odrywali się do siebie. Potem Werka powiedziała, że mają wspólną historię.

- Kto? - spytał Witek.

- Wy, wy wszyscy.

Spytała czy dziadek Witka też walczył. W powsta-
niach walczyli dwaj jego pradziadkowie i Witek powiedział
jej o tym. Powiedział też o ojcu, który w czasie wojny
bił się pod generałem Kutrzebn, a potem w kisańskich la-
sach, tak się służyło.

- Mój pradziadek zbudował fabrykę, tu w Łodzi -
powiedziała Werka.

- A dziadkowie zginęli na Majdanku. Byłam tam na
rocznicę. Przewodniczek mówili, że włosy ludzi stamtąd
wysyłano do Rzeszy i tam robili z nich różne rzeczy. Na
przykład skarpety dla żołdaków łodzi podwodnych. Tyle o nich
wiem. I nie mogę się przejąć Konradem.

Witek pocałował ją. Potem zatrzymał się.

- Jesteśmy niedaleko domu - powiedział.

- Za godzinę mamy pożeg. Chcesz żebyś się odpre-
wadził, czy chcesz poczekać u mnie?

- Nie mamę dziś jechać. Pójdę do siebie - powie-
dziła Werka spokojnie. Została w Łodzi kilka dni. Znow
miał przyjechać Harris i Witek znalazł się w kręgu orga-
nizatorów jego pobytu. Tym razem miał być tylko jeden
dzień, a szczętnych było kilka razy tyle, so na poprzednim
razem. Witk znow naszedł do siołki z propozycją wejś-
ciowej kartki, siołka znow odmówiła, ale kiedy wychodził
przytrzymała go za ramię.

- To żydówka? - spytała, pokazując w stronę jego
mieszkania.

- Tak - powiedział Witka.

- Wielu było wielkich komunistów.

- Wiem, siostra.

Werka wyjechała, kiedy naszął się prawdziwy ruch.

Na dworcu w Warszawie czekał na nią Busek. Miał dziwny wyraz twarzy, błyszczały mu oczy i właściwie nie zwracał uwagi na Werkę. Powiedział, że czeka już trzech dzień, ale czuło się, że nie jest to dla niego takie ważne.

- Przecież dzwoniłam - powiedziała Werka.

Busek nie odpowiedział, dopiero kiedy stanęli w kolejce do taksówek zbliżył do niej twarz.

- Wiem kto to zrobił ojeu... Rękę pocharatał.

- I co zrobiłeś?

- Ukaszę go i to mocno.

Rozśmiał się. Werka popatrzyła na ten śmiech.

- Ja nie załatwiłam nic z mieszkaniami matki - powiedziała.

-A co?

- Zdrażdziłam się.

Podjechała taksówka. Busek wepchnął Werkę.

- Jedź do domu - powiedział - i czekaj.

Zatrzasnął drzwi. Taksówka odjechała i zaraz była następna.

- Do Garwolina - powiedział do kierowcy.

Tak by wyglądał los Witka, gdyby SCK-ista wesełniej wypił herbatę z tego popołudnia przed kilkoma laty. Może bardziej się swiaśniałby z ludźmi drukującymi książki i biuletyny, może mniej. Może zbierałby pieniądze od

wakacyjnych, pewnych ludzi i skrupulatnie przeliczone oddawałby organizatorom szkieł, może uczestniczyłby w manifestacyjnych masach i z podniesionym głosem wychodził z kościołów w przekonaniu, że robi coś ważnego dla połączenia się ludzi w dążeniu do lepszego świata. Ale możliwe, że zrobiłby tylko to, o czym wiemy z tych kilku stron maszynopisu, tylko tyle.

Ale gdyby w tanto popołudnie osiągnął o 15 sekund wcześniej, a BOK-ista zmierzył chwilę przy popołudniowej herbacie? Wtedy goniąc posiąg i będąc o kilka kroków od poręczy ostatniego wagonu, biegłby długo czas stale w tej samej odległości, a potem poręcz oddaliłaby się i Witkowi powoli wytraciłby szybkość, aż by stanął. Tak też mogło być i dla potrzeb ostatniego opowiadania o Witku sądzimy, że tak się właśnie stało.

Wrócił, wysapawszy się, wlokąc niewygodną torbę. Przy wyjściu do miasta czekała Olga. Witkowi nie spodobał się jej, postawił torbę, błady teraz po wysiłku.

- Skąd się wzięłaś? - spytał.

- Wzięłam się.

Podniosła jego torbę i wzięła go pod rękę.

Następnego dnia już ubrana, spytała go jeszcze leżącego w łóżku:

- Pojedziesz do Warszawy?

- Dział nie.

- A w ogóle?

- Nie wiem.

Przyniosła zakupy, ugotowała kupę i nie zwracała uwagi na to, że Witkowi nie właściwie nie robi. Potem sa-

niecila supę ciotce, a jeszcze później ciotka przyjechała do nich na obiad. W trzy miesiące później wzięli ślub, w rok później Wittek wrócił na Akademię i kiedy kończył medycynę, a Ola pracowała już w szpitalu Krystyny, mógł wieczorem położyć rękę na jej brzuchu, żeby poznać, jak rusza się dziecko. Potem musiał pracować w pogotowiu, Ola bez macierzyńskiego urlopu pracowała dalej, ciotka siedziała przy dziecku, znów energiczna i potrzebna. Kilka razy udało mu się uratować życie człowiekowi, leżało to niby w zakresie jego obowiązków, ale czuł się szeszośliwy przez kilka następnych tygodni. Został też na Akademii jako asystent, dziekan pokiwiał głową wręczając mu kontrakt. Jeździł razem ze studentami na białe niedziele, lecząc ludzi w podlódzkich wsiach sadarnie, z wielką przeważnością, Ola, jeśli mogła, jeździła z nimi. Kiedy przyjechał do Łodzi Harris, wysłali tam swoich pacjentów, jeśli ktoś chciał, ale wieczorem Wittek parodiował Wielkiego Lekarsa, trzymając ręce nad głową Oli z namkniętymi oczyma, ale Oli nadal bolała głowa, więc całował ją delikatnie i wtedy przestawała. Olga co roku wyjeżdżała do Kijowa ze swoimi rodzicami, była jak na studiach spokojna i jak na studiach nieswycie oddana i zaborena w noc.

Witkowi udało się uratować dziewczynę z akademika, kiedy akademik otoczył tłum gotowych na wszystko bab, bo w bramie znalezione o świcie martwe niemowlę, a Wittek wiedząc, że żadna z mieszkanek tego niedużego, leżącego na peryferiach Łodzi domu studenta nie urodziła w ostatnim czasie dziecka - on jeden zdecydował się w pogotowiu pojechać do tego akademika. Potem, kiedy baby się rozeszły, wrócił tam i powiedział tej dziewczynie, że powinna

zgłosić się na milicję i nie sprawdził nawet efektu, bo był pewien, że ona zgłosi się tam natychmiast.

Kiedy Olga urodziła drugie dziecko, pracował już w szpitalu, biorąc tylko dyżury w pogotowiu, nie dla pieniędzy, ale z nawyku, z potrzeby wykonywania tego zawodu przez cały czas. Na Akademii doktoryzował się i specjalizował w kardiologii i osiągał świetne wyniki pedagogiczne. Był w grupie lekarzy, którym dane było obejrzeć operacje profesora Barnarda, brata słynnego chirurga z Kapstadu, pacjenci widzieli już, że nie przyjmuje koniaków i w ich domu nawet w sianie pełno było kwiatów. Kiedy zorganizowano kilkutygodniowy wyjazd młodych prawników naukowych do mediolańskiego szpitala, Witek znalazł się w tej grupie jako jedyny lekarz z Łodzi. Kilka dni przed wyjazdem poszli do teatru na "Dziady". Witek zobaczył tam ciemną dziewczynę, kogoś mu przypominała, przyjrzał jej się uważnie, ona też na niego spojrzała i na tym się skończyło. Bilet lotniczy odebrał w Wydziale Zdrowia, Olga miała dyżur tego dnia, więc odprowadziła go ze starszym synem tylko na dworzec, nie mogła jechać do Warszawy. Witek wychylił się przez okno.

- Zdążyłeś? - spytała Olga.

- Zdążyłem.

Wizytował syna i żonę nim pociąg ruszył. Wychylił się w tym celu mocno przez okno.

Załoga ograniczonego samolotu nie mogła znaleźć przy sprawdzanym silniku swojego ulubionego mechanika.

- Gdzie Buzek? - spytał jeden z pilotów młodego specjalistę w kombinezonie.

- Nie przyszedł - odpowiedział tamtem - Coś się musiało stać, dzwonili z miłkoci.

- Ale co?

- Nie wiem - odkrzyknął mechanik, pilot wszedł do samolotu, spróbował, mechanik podniósł kociuk w górę.

Witek przed swoim pierwszym międzynarodowym lotem wypił kieliszek koniaku z kolegami z innych uczelni medycznych. Wysypali się z autobusu i Witek poprawną francuszczyzną dowiedział się od stewardessy jak długo potrwa lot. Uśmiechnęła się do niego.

Samolot wystartował i kiedy zniknął w niskich chmurach rozbrzmiał nagle wielkim, nienaturalnym błyskiem. Dopiero po kilku sekundach rozległ się silny huk, a w jeszcze kilka sekund potem kawały żelaza opadły wirując w powietrzu przed filmującą to wydarzenie kamerą.

Witek na zebraniu organizacji młodzieżowej nalewał sobie z butelki wody sodowej i nagle zamarł w pół ruchu.

Witek, regulując wielką kolejką do Harrisa przed kościołem, przerwał również nagle pracę i zapatrzył się przed siebie.